

Alina Janowska - pseudonimy "Alina" (oficjalny), "Setka" (przezwiseko), łączniczka, strzelec



Przeprowadziłem prawdopodobnie ostatni wywiad w życiu Aliny Janowskiej. Była jedną z bohaterek mojej książki "Aktorki. Spotkania". W przypadającą jutro 80 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, warto wrócić do słów Aliny Janowskiej. Są potrzebne jak haust lepszego powietrza w gorszych czasach.

"Różne rzeczy mówi się o powstaniu. Dyskusja, czy miało sens, nigdy się nie skończy. To było wstrząsające przeżycie, ale o dziwo, zapamiętałam je również w jasnych barwach. Pośród tych ruin, bomb, głodu, ludzie flirtowali, pobierali się, kobiety zachodziły w ciążę, rodziły się dzieci.

W moim przypadku, nie było wtedy czasu na rozważania, czy warto walczyć. Klamka zapadła. Pamiętam jednak, że do końca wierzyliśmy, że mimo wszystko ktoś nam pomoże, nie zostaniemy sami. Zawsze energiczna i zaradna (po ojcu), dostałam wtedy jakiejś nadwyżki z entuzjazmu. Musiałam obdzielić nią cały legion zmartwionych i chorych.

Otrzymałam zadanie, żeby opiekować się bezradnymi ludźmi, uwięzionymi w swoich domach. Silniejsi schodzili do piwnic, ale starcy zostawali na górze, w mieszkaniach, bez wody i żywności. Próbowaliśmy im pomagać.

Przede wszystkim jednak zajmowałam się moimi chłopakami. Żołnierzami, często nastoletnimi. Trzeba było gotować im coś z niczego, obmyć rany, ogolić, zdobyć wodę. Codzienna kołomyja."

„W każdej sekundzie pamiętałam, że nie wolno mi się rozkleić, bo wtedy wszystko się rozpadnie. A przecież deptało się po trupach, cuchnęło strasznie, wszędzie był pył i brud, serce pękało, a jednak ani razu się nie rozplakałam. Musiałam być dzielna, dla tych dzielnych chłopaków, którzy (jeszcze) żyli, a jak ginęli, trzeba było ich zakopać i pamiętać miejsce, gdzie leżą. Żywi od nas tego oczekiwali. Nie mogliśmy ich zawieść”.



"Doskonale pamiętam wybuch wojny. Mieszkaliśmy wtedy oczywiście na Kresach Wschodnich, w Żyrowicach pod Stoniem. Dochodziły tam do nas informacje o nadciągającej wojnie, ale nikt w to nie wierzył. Przecież to niemożliwe. Pierwszego września 1939 roku od rana słuchaliśmy radia. Pojawiły się okrutne komunikaty o wybuchu wojny. A jednak. Potem, z drżeniem serca, słuchaliśmy na żywo pamiętnego przemówienia prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego. Byłam wtedy beztruską nastolatką, miałam szesnaście lat, w jednej chwili musiałam dorosnąć."

„Wojna to był najgorszy czas w moim życiu, ale jednocześnie czas przełomu, przyspieszonego dojrzewania, poznawania dobra i zła.

I jeszcze zrozumienia, na czym polega człowieczeństwo".

"Nawet w najgorszych momentach, czułam się silna. Nigdy nie uważałam, że znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Zawsze coś się przecież znajdzie, coś wymyśli. Wolę działanie, niż biadolenie, że jest źle. Każdy koszmar w moim życiu, określałam grubą kreską z napisem „zamknięty etap”, czas przejść do następnego. Dzięki temu, nigdy nie byłam na życiowym zakręcie, nie straciłam zaufania do ludzi".

"W Oświęcimiu, na planie „Ostatniego etapu”, pracowaliśmy w autentycznym obozie. Codziennie mijaliśmy napis „Arbeit macht Frei”. Mieszkaliśmy w bloku, w którym mieściła się administracja niemiecka. Przez okno było widać krematorium. Ale powiem brutalnie, że na nikim z nas nie robiło to wrażenia. Każdy dźwigał przecież zupełnie świeży bagaż własnych wspomnień.



Jeżeli przeszło się przez Pawiak, to nawet Oświęcim, szubienica i krematorium, nie wywołują hysterii. Wszystko było jeszcze zbyt bolesne, niezagojone".

"Po jednej z łapanek, znalazłam się na Pawiaku. To był horror, przemoc fizyczna i psychiczna. Któregoś dnia przywieziono ponad dwadzieścia kobiet z Ravensbrück. Codziennie żarliwie się modliły, ktoś obiecał im, że zobaczą mężów, dzieci, rodziny. Ja uważałam, że Pan Bóg ma w tym momencie ważniejsze sprawy od moich kłopotów, oddałam się losowi".

"Niezrównana Ilse Glinicka, zorganizowała mi pracę w majątku Branickich w Wilanowie. Byłam robotnicą, zajmowałam się ogrodem.

Wie pan co najlepiej zapamiętałam? Że w końcu, po kilku latach, mogłam się wtedy najeść do syta. Nie wyobrażałam sobie, że można nie być głodnym. To najmocniej wpisało się w moją pamięć. Talerz z zupą, miedziana łyżka, możliwość dokładki. Ta jarzynówka miała smak ambrozji".

„Wojna w Warszawie, miała różne kolory, nie tylko ponure. Mogłabym przed panem bajdurzyć całymi godzinami jacy to byliśmy szlachetni i bohaterscy, ale przede wszystkim byliśmy wtedy bardzo młodzi. Ten okres życia ma swoje prawa. Zakochiwaliśmy się, śmieliśmy do rozpuku, piliśmy wino".

"Wciąż jestem teraz zapraszana na jakieś wieczornice wspomnień wojennych. Nie mogę tego wytrzymać. Resztki tych, którzy przeżyli, siedzą i mamroczą coś pod nosem. Wymagają hołdów. Nie znoszę takiej starości. Jest mi obca. Parę razy popsulałam smętną atmosferę tego typu spotkań. Wstałam, wzięłam się pod boki i z całej pary huknęłam im, że „Chmielnej już nie ma, już Chmielnej”. Po prostu zaczęłam śpiewać. Najpierw się zdziwili, ale potem z wolna zaczęli się przyłączać, uśmiechać. Nie ma co płakać, złe dawno temu minęło. Cieszymy się, że żyjemy, nikt w nas nie rzuca bombami, a w przeszłości zachowywaliśmy się dobrze, byliśmy dzielni, broniliśmy naszej Ojczyzny. To powód do radości, dumy, a nie lamentów".

- Tak dobrze mi się z Panią rozmawia, tak miło spędza czas, jakbyśmy się znali całe lata.

„Wiesz na czym to polega Łukaszku? Ja nie traktuję siebie zbyt serio. Nie rozczulam nad sukcesami, nie rozpamiętuję porażek. Jak się potknę na chodniku, robię okład z kapusty, to mój stały, niezawodny sposób. Jak zdarza mi się zgrzeszyć, mogę zawsze zrobić rachunek sumienia, zadośćuczynić. To są moje metody.

No i jeszcze: ja lubię ludzi. Ludzie mnie ciekawią. Kiedy uczyłam studentów tańca i rytmiki, mówili mi, nawet po wielu latach, że przy okazji nauczyłam ich jak mają żyć. Jak być odważnym, pozostając ludzkim. W zawodowym, aktorskim życiu, nigdy nie usłyszałam takiego komplementu".

Autor: Łukasz Maciejewski

Filmoznawca, historyk kina, krytyk teatralny, autor książek

Zdjęcia: Domena publiczna